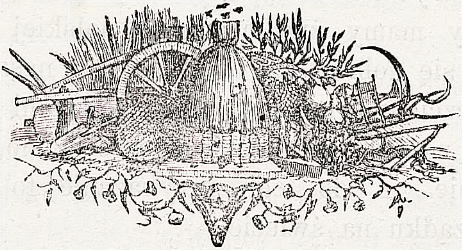
Tom XI. Nr. 15.
21. listopada 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Czwarte przykazanie.

Bardzo często się to dziś zdarza niestety kochani ludkowie, że dzieci rodziców nie szanują. A grzech ten bardzo ciężki, dla którego nie ma i nie będzie błogosławieńswa Boskiego, najczęściej się zdarza między ludem wiejskim. Małe dzieciaki nie chcą słuchać matki, odpowiadają hardo: nie chcę! nie pójdę! nie potrzebuję! zróbcie sobie sami! i t. p. Gorszych i nieprzyzwoitszych odpowiedzi już nie wspomnę, bo strach ich słuchać a cóż dopiero pisać. Większe potem wyrostki ojca i matkę za nic mają, a dorośli synowie ząb za ząb z rodzicami się kłócą. Na tem nie koniec, bo ileż to razy się zdarza, że dzieci na rodziców rękę podnoszą, że starych poniewierają, że im żałują strawy, izdebki i przyodziewku, że ich żebrać zmuszają. A co się to dopiero dzieje, kiedy starzy rodzice synowi lub zięciowi zdadzą gospodarstwo, jakie kłótnie, przekleństwa, obraza Boska, bijatyki, procesa, a często i zabójstwa własnych rodziców. Aż strach pisać, strach pomyśleć, bo z tego kara na takie dzieci przeklęte i kara na cały naród!

Pan Bóg powiedział w czwartem przykazaniu: „Czcij ojca twego i matkę twoją, aby ci się dobrze powodziło i abyś długo żył na ziemi, którą dam tobie.“ Jeżeli więc my Polacy mamy żyć na ziemi polskiej jako na ziemi naszej, i jeżeli się dobrze ma dziać całemu naszemu narodowi, tedy rodziców czcić powinniśmy. Bez tego ani ziemia nie będzie naszą, ani nam się nie będzie dobrze działo, bo Bóg słowa swego nie łamie. A do tego przykazanie to jest podstawą wszelkiego porządku na świecie.

Dom rodzicielki jest dla dziecka pierwszym światem, tu ono się powinno nauczyć wszelkich cnót, których Bóg i ludzie wymagają, a które człowiekowi i narodowi do szczęścia potrzebne. Rodzice powinni od małości dziecko tak kierować, że ono ich wolę uznaje za świętą, że z uszanowaniem słucha ich rozkazów, ale te rozkazy nie powinny być takie, jakie dziś pożal się Boże, ojcowie dzieciom dają, to jest: większą częścią Boga obrażające a bliźnim krzywdę czyniące. Takich rozkazów to jest: grzesznych, niech one pochodzą od kogo chcą, nie powinien nikt wypełniać, rozkazy więc rodziców dla dziatek mają być takie, z których Bogu jest chwała, a samym rodzicom i ich bliźnim pomoc i pociecha a dziatkom pożytek, takie więc rozkazy powinny dziatki święcie wypełniać, a kiedy się takiego posłuszeństwa, uszanowania i wszystkiego dobrego nauczy dziecko w domu rodziców, wtedy i gdy dorośnie będzie umiało w świecie szanować prawa Boskie i ludzkie, będzie człowiekiem, który dla dobra całego narodu potrafi żyć według tego, co dla narodu będzie postanowione i potrzebne. Jeżeli zaś rodziców nie szanuje i nie słucha i w tem wzrośnie, kogoż więc będzie słuchało? Natenczas stanie się rozpustnikiem, nieczciwiarą i zdrajcą, siebie jedynie miłować będzie na świecie.

A więc dla dobra całego narodu i świata postanowione jest czwartem przykazaniem uszanowanie rodziców, jako pierwszy początek uległości wyższej woli, jako szkoła do uszanowania prawa i poskromienia siebie dla dobra narodowej całości. Słusznie więc powiedzieć można, że gdyby ludzie czwartego przykazania się wyrzekli, natenczas skończyłoby się wszystko, ustałby wszelki porządek, ludzie obok siebie i razem nie mo-

gliby żyć bespiecznie, lecz by było jak między zwierzętami drapieżnemi: kto mocniejszy, ten lepszy!

Bez zachowania czwartego przykazania, bez czci dla ojca i matki ludzie nie mogliby długo żyć, ani by im się nie mogło dobrze dziać, gdyż ani swego życia ani majątku żaden nie byłby pewien i żaden naród nie byłby narodem, bo by się kupy nie trzymał, nie szanując starszyzny swojej, nie szanując woli narodu i jego praw. Taki to wielki obowiązek spoczywa na rodzicach, a więc wychowujmy dziatki żeby nas szanowały, tak jak to ów dobry syn szanował ojca swego, o którym nie dawno w ósmym numerku Dzwonka czytaliśmy. Ja wam także na podobieństwo tamtego, o drugim takim dobrym synie w krótkości opowiem.

Otóż za dawnych czasów kiedy syn był nieposłuszny rodzicom, to go oddali do wojska i ztąd też bywało mawiano, że kto nie słucha ojca i matki, ten niechaj słucha skóry wojańskiego bębna, w ten czas więc nikt do wojska sam się nie stawił, ale łapano chłopaków nocą. Był też jeszcze inny sposób a ten się nazywał werbunek i był taki, że oficerowie jeździli po miastach i młodych ludzi sobie namawiali, podkupywali lub gwałtem z nienacka chwytali. I przytrafiło się, że do jednego takiego oficera który grube pieniądze obiecywał tym, którzy do niego przystaną, przyszedł pewien młodzieniec bardzo porządny, a drząc z wystraszenia jakiegoś, sam mu się ofiarował za żołnierza. Oficer jakoś mu nie dowierzał. Wypłaciwszy przecież obiecywane pieniędze szedł za nim z daleka i patrzał co ten z pieniądzmi zrobi, o które tak mu jakoś bardzo chodziło. Aż patrzy a on młodzieniec idzie prosto do więzienia i wykupuje z niego swego ojca, który tam siedział za dług.

Nie chciał ojcu powiedzieć, zkąd do grosza przyszedł, aż dopiero kiedy ojciec począł się obawiać, czy go niepoczciwym sposobem syn nie nabył, całą rzecz ojcu wyjawił. Dopiero ojciec w płacz i ani słuchać nie chciał o takiej wolności, za którą by się syn zaprzedał. Syn także w płacz i prożby.

— Ojcze kochany — powiada — toć na nas dzieci miałeś tyle wydatków, za nas siedzisz w więzieniu, więc pozwól, niech ja ci się odwdzięczę!

*

Byliby jeszcze długo płakali nad sobą, gdyby nie ów poczciwy oficer, który się też na taki piękny przykład miłości rozczulił i pieniądze darował a takiego syna ojcu wziąć nie chciał.

Czytamy także o Bolesławie, królu polskim, że on swego zmarłego ojca nosił obraz na piersiach swoich, a przed każdem ważnem przedsięwzięciem zwykł się był w niego wpatrywać, i całując go mawiał:

— Dalekiem niech będzie odemnie, mój ojcze drogi! abym miał cokolwiek przedsięwziąć albo wykonać, co by się sprzeciwiało czci imienia twego!

O! jakże pięknem musiało być wychowanie jego, a jak skuteczniejszy wpływ musiał na niego wywierać nad obraz przykład żyjącego jeszcze ojca!

A więc wychowujmy dziatki nasze tak, żeby się pomnażały w łasce i mądrości u Boga i ludzi, ażeby gdy urosną, żyły Bogu na chwałę, nam na pociechę a bliźnim na pożytek, żeby się strzegły drogi nieprawej a chodziły jedynie drogą sprawiedliwości, bo mówi pismo święte, że tylko „sprawiedliwość wywyższa naród a wszelki grzech czyni ludzi mizernymi.“

Nadesłał: *Juliusz Ligoń.*

Krwawe żniwo.

W pewnej wiosce przed laty,
Żył gospodarz bogaty,
Miał najlepsze i łąki i role.
Więc w ostatniej godzinie,
Gdy syn stanął przy synie,
Tak oznajmił ostatnią swą wolę:

— Nic nie wezmę do grobu,
Pragnę szczęścia dla obu,
Zaś spokoju wiecznego dla siebie
Nie szarpcie się chciwością,
Jako z jedną psy kością,
Ale każdy niech weźmie po glebie.

Za nic wola ojcowa,
Bo brat starszy te słowa
Rzekł do siebie: — Dość kurce na grzędzie,
Lecz na jednej ja glebie,
Kij dziadowski wygrzebię.
Lepiej jeden niech obie posiędzie. —

I gdy wyszli z pługami,
Odorać się miedzami,
Zabił brat młodszego kłonicą,
I pochował go w ziemi,
I rękami krwawemi
Pole zorał i zasiał pszenicą...

A przed ludźmi jak święty
Gorzkie płakał lamenty:
Że mu w nocy brat wlazł do komory,
Że skradł wszystkie dukaty,
I że uciekł gdzieś z chaty,
Gdzieś daleko, rozbijać, na bory...

Na te żale i skargi,
Ten, ów, bąknął przez wargi
Jakieś słówko, i główką coś kręci.
Ten, ów zęby zacina,
A młodszego wspomina,
Dopóki im nie wyszedł z pamięci...

Już i zboże zakwita,
Nikt o brata nie pyta,
Starszy z wielkiej radości aż skacze.
Jedna tylko pszenica
Straszy brata dziedzica...
Krwawym kłosem faluje po łanie...

Już nadeszło i żniwo,
Starszy młóci co żywo,
Krwawe ziarna padają z bijaka.
Poszło ziarno do młyna,
Sypie mąka się siwa,
Jak z krwi suchej djabelska tabaka.

Już i chleb się rumieni,
Krwawiej słońca w jesieni.

Bladeć ono przy takiem bochenku...
Starszy brat go rozkrawa,
Bucha para zeń krwawa,
Aż się krwawo zapocił nóż w ręku...

Padła bratu na lice,
Krwawa plama w źrenicę,
Przegryzła się przez skórę do serca...
Wnet strętwiały mu zęby,
I w wężowe się kłęby
Skurczył, zwinął, i skonał morderca.

Bo gdy w piersi otchłanie,
Krwi się kropla dostanie,
Z czarnej zbrodni owoców, choć jedna,
Sumienie się ocuca
I krew za krew wyrzuca
Jako morze czerwone beze dna...

Czarna dusza drży, wyje,
Fala krwawa w nią bije.
Chlusta w gardło, łaskocze i drażni,
Aż dopóki szatani,
Z ciemnych piekieł wysłani,
Nie wywloką tonącej z tej łaźni...

Mateusz Gralewski.

Raz kozie śmierć!

Opowiedział Janek z Bielca.

I.

We wsi Bolczyce, jesienią w niedzielny ranek, na ławeczce przed chałupą, siedział Janek Palczak, szepcząc pacierze. Obok niego leżała czapka, bo uszanowanie przynależy każdej modlitwie, a włos siwy, gęsty — spadający po obu stronach twarzy jaśniejącej dobrocią i rozumem, przy smagłości wzrostu, i mimo lat podeszłych czerstwości zdrowia Janka, nadawał mu postać jakby patryarchy, szanowanego i kochanego przez wszystkich. Na niebie rumieniły się obłoki od promieni wschodzącego słońca,

w powietrzu rozlegał się spiew ptaszyn, witających dzień Boży; po ziemi przesuwały się małe tumany mgły jesiennej, skroplając się w rosę na trawie i liściach; tu i owdzie odzywało się pianie koguta, a na dachu gruchały gołębie, ciekawie wychylając łepki ku Jankowi. Wszystko zapowiadało dzień ciepły i pogodny, co to raduje i cieszy każde stworzenie Boże, i mimowoli podnosi myśl i serce ku Stworzycielowi tych cudów, jakiemi otoczył grzesznego człowieka. Widok pięknej natury, widać że w Janku obudził podobne myśli, bo wzniosłszy oczy ku Nie!u, westchnął pobożnie, ale w tej chwili skrzypnęły drzwi od pobliskiego domostwa, i wyskoczywszy z niej, jakby w tańcu, świątecznie przybrany włościanin, brzęknął podkówkami i ochrypłym zaśpiewał głosem:

Stalóweczki, podkóweczki,
Pobrzękujcie dla dzieweczki;
Bo dzieweczka — jako kwiat,
A kieliszek — cały świat!

Za nim wysunęła się kobieta, także z paradą przybrana, i klaszcząc w ręce, podrygała w takt spiewowi. Było to małżeństwo Marcinowie, gospodarze miejscowi, ludzie nie ostatnio się mający i lubiący niezmiernie wszelkie pohulanki. Wracali ze chrzcin i do dnia przeciągnąwszy zabawę, umyślnie z takim spiewem wyruszyli z izby, aby pokazać wsi całej, jak się wesoło bawili przez noc i jaka jest ich zamożność, że sobie mogą na takie zbytki pozwalać. Jak więc spiewał Marcin, to Marcinowa podrygała; jak Marcinowa spiew zawodziła, to Marcin pokrzykiwał hu-ha! — i taczając się tak i popychając, wlekli się przez błonie, zwracając oczy wszystkich na siebie. Chociaż niejeden patrząc na nich, odwracał się z niechęcią od takiego zbytku, co człowieka przemienia na dziwowisko, jednak byli i tacy, co zazdrośnem na nich spoglądali okiem, i jak to mówią, tylko łykali ślinkę. Do ostatnich należał Antek syn Janka Palczaka; usłyszawszy bowiem wesołe spiewy, szybko wyszedł z obory, gdzie się zaprzątał około bydła, posłuchał piosenki z uśmiechem, i potem jakby z żalem rzekł do ojca:

— Nie ma to jak bogaczom! naje się, napije, wytańczy, a potem spi aż znowu do drugiej uciechy. Marcinowie mają

rozum nie tak jak drudzy, co to w pracy dzień po dniu, w spoczynku ledwo w święto, a w uciesze raz albo dwa razy najwięcej w roku.

I rzekłszy to, westchnął smutnie i oczami pogonił za Marcinami.

— Moje dziecko — odezwał się po chwili Janek — we wszystkiem powinna być miara. Praca bez spoczynku wprędce zabija człowieka, lecz ciągła zabawa nudzi. Bóg przez sześć dni pracował nad stworzeniem świata, a siódmego dopiero odpoczął. Człowiek tak samo robić powinien. Marcin wszystko robi przeciwnie, i jak się nie odmieni, to musi źle z nim wypaść. Zabawa, moje dziecko, żyje tem, co praca przysporzy; jak zaś więcej zabawy niż pracy, czyli więcej wydatku jak przychodu, to w końcu muszą przyjść łachmany, a z niemi nędza, hultajstwo i pijaństwo. Zbytkowanie tak się zawsze kończy, i Marcinów to samo czeka, jeżeli się nie upamiętają. Przyjdą zapusty, to się wytańczysz i nacieszysz co sobota w karczmie, a dziś moje dziecko ogarnij się, bo pójdziemy do kościoła, a jutro pójdziemy z rydlem do roboty; dobrze że zarobisz na buty przed zimą. Zarobku, chociażby w największem bogactwie, zawsze szukać należy, bo praca młodości, ulga w starości. Staremu zaś wierz, moje dziecko, bo stare oczy wiele widziały, a stara głowa dużo pamięta.

— Ja wam wierzę, mój ojcze — odrzekł na to Antek, i rzuciwszy raz jeszcze okiem i uchem ku Marcinom, z szumem w głowie dochodzącym do chałupy, wszedł do obory, ukończyć w niej przerwaną robotę.

II.

Na drugi dzień u Janka wszyscy krzątali się w pracy, Antek z siostrą Marysią byli na zarobku, a Janek z kobietą opędzali się robocie w domu. U Marcinów działo się wszystko przeciwnie. Marcin siedział na skrzyni i trzymał się za głowę, Marcinowa postępując, skrzywiona jak nieszczęście wałęsała się od kąta do kąta; że zaś chłopak poszedł dowlec posiewu, w domu więc wszystko stało w zaniedbaniu. Ani ognia na komine, ani wody w statkach, ani porządku w izbie, i we wszy-

stkiem takie widać było opuszczenie, że nawet kotowi naprzykrzyło się, bo siedząc na piecu darł się niemiłosiernie różnemi głosami.

— A bodajeś z kości opadł! — zawołał Marcin, rzucając wałkiem w kota; — drze się jak nieszczęście....

Wałek minął kota a uderzył w garnek pełen pierzy i pierzem i skorupami napełniła się cała izba.

— Marcin! a ty co dokazujesz? — zawołała Marcinowa — cały rok zbierała pierze, a teraz odrazu wszystko pójdzie z wiatrem....

— To niech idzie — odrzekł Marcin — miałbym też o co sobie głowę psować, ale o marne pióra... Ale wiesz Basiu, jakoś nudzi... żeby tak przepalanki...

— Tobie przepalanka, a mnie pierze w głowie; daj mi pokój, pijaku...

— Nie zadawaj mi Basiu pijaństwa — odrzekł urażony Marcin, — bom na czczo jeszcze.

— Ale ci szumi po wczorajszem, kiedy bez potrzeby tłuczesz garnki.

— Szumi bo szumi, alem przy rozumie i przytomności, i kiedy nie chcesz poratować, to sam pójdę do karczmy...

I rzekłszy to, Marcin dźwignął się ze skrzyni, ale zaledwie stanął na nogach, wnet stracił równowagę, zatoczył się i wpadł całem ramieniem na okno. Brzęknęły szyby, wyleciały ramy, a Marcin stuknąwszy porządnie głową, skulił ją ku ramionom, zatoczył się powtórnie w okno z takim pędem, że gdyby nie Marcinowa, co go przytrzymała za nogi, byłby pewnie z drugiej strony okna chlapnął w kałużę.

— A ty co dokazujesz! — zawołała Marcinowa, — siedź ot i nie ruszaj się, kiedy ci nogi nie statkują. Zmarnowałeś pierze, a teraz okno; jak tak pójdzie dalej, to się niczemu nie dasz ostać w chałupie.

— Co tam, moje dziecko, raz kozie śmierć! ani pierze, ani okno nie wieczność; człowiek na nie pracuje, a nie one na człowieka. Ale wygarnąłbym jaki kieliszek... tak mi zimno...

— Sięgnij za skrzynię, to znajdziesz flaszkę; tylko ostrożnie, żebyś łbem nie padł na ziemię.

— Nie bój się, — odrzekł Marcin, z takim pośpiechem nachylił się, że gdyby nie ściana, byłby pewnie cały wsunął się za skrzynię. Tym jednak razem wielkiej szkody nie zrobił, tylko zrzucił dwa obrazy ze ściany, i zdarł sobie skórę z policzka. Kiedy Marcinowa spojrzała na męża, jak do światła przyglądał się flaszce, klasnęła w ręce i zawołała z największem przerażeniem:

— A tobie co się z twarzą stało? cały krwią zbroczony... co ty dokazujesz?

— Co tam moja Basiu! raz kozie śmierć! pysk się zagoi i zawsze pyskiem będzie, a co się człowiek pokrzepi to popokrzepi. Daj ci Boże zdrowie!

— Pij z Bogiem — odrzekła Marcinowa, zakładając ręce — może ci się po gorzałce jako odmieni...

— Odmieni, moje dziecko, odmieni — odrzekł Marcin, podając żonie nalany kieliszek, i w tej samej chwili zatoczył się tak silnie, że grzmotnął w szafę, a ta z łoskotem zatrzęsła się i ze wszystkiemi garnkami, miskami, łyżkami runęła na ziemię, druzgocząc szafliki w kawałki.

— A to ci się dopiero odmieniło! — wrzasnęła Marcinowa, chwytając się za głowę. — A mój Boże, tyle szkody, tyle marnotrawstwa!...

— Moje dziecko, raz kozie śmierć! nie żałuj... nie żałuj... skorupa marność...

— Ale równie pieniądz kosztuje...

— Co tam, moje dziecko, powiadam ci, raz kozie śmierć i basta!... uściśnij mnie Basiu!...

I mówiąc to, podsunął się ku żonie, ale się zatoczył i padł ns łóżko.

— No! już leż tam — odezwała się Marcinowa, — bo jakoś zabawa tą razą nie poszła ci ręką.

— Urok, moja Basiu, urok ktoś na mnie rzucił, bo jakoś i rozum i język statkują, a nogi każda idzie inną drogą.

— A może być że to urzeczenie — odrzekła Marcinowa, — bo ludzie strasznie zazdrośni.

— A Palczakowie starzy najpierwsi, — dodał Marcin, — chciwe to, zazdrosne, za zarobkiem to by w ogień poszli. Ró-

wnie trzeba sobie wypocząć, bo na przyszłą niedzielę pójdziemy na poprawiny, a potem u Matusów szykuje się wesele i nas na pewno nie minie, bo wiedzą ludzie, że się mamy nie ostatnio i lubimy ludziom usłużyć.

— Dobra to uciecha — odrzekła Marcinowa wzdychając. — ale równie opuszczenie w domu...

— Co tam opuszczenie! czy to u nas pusto w stodole, albo w oborze, albo w komorze. Raz kozie śmierć, moje dziecko, a co człowiek się zabawi to zabawi. Jak braknie grosza, to jak się chwycę temi oto rękami pracy, to robota tylko furczyć będzie; o!. patrzaj...

I rzekłszy to Marcim zaczął machać rękami z takim zapałem, że zerwał ze ściany trzy obrazy ze świętemi.

— A dla Boga! czyś opętany? ustatkujże się — wrzasnęła Marcinowa.

— Co mam statkować? cóż to? czy ja pijany, czy co? Nie frasuj się, moje dziecko, na jarmarku kupimy nowe garczki i inne obrazy; stać na to; raz kozie śmierć, i juści!...

— Ja nie koza — szepnęła na wpół spiąca Marcinowa, i pochyliwszy głowę na łóżko, wkrótce głośno zachrapała. Marcin usłyszawszy to pobzdurzył jeszcze troszkę, zerwał resztę obrazów ze ściany, przewrócił się na bok, i począł takie chrapanie, że w izbie tylko burczało, jak grzmoty podczas burzy. W sieni zaś z głodu gęgały gęsi, kwiczały dwa wieprzki, ryczała krowa nie wypuszczona na paszę; a kiedy syn wrócił na południe do domu, nie zastał ani obroku przygotowanego, ani ugotowanego obiadu i zaledwie się rodziców dobudził.

III.

Jak Marcinowie uradzili, tak zrobili. Byli na poprawinach, potem na weselu jednem i drugiem, w zapusty zabawiali się jak tylko mogli, a w gospodarstwie szło wszystko w opuszcznie. Z głodu dobytek marniał, statki niszczały, budynki upadły, a Marcin ciągle powtarzał: raz kozie śmierć! i dalej z Marcinową do kieliszka, bo klin najlepiej klinem wybijać. A że tych klinów z gorzałki dosyć bywało często, a o pracy i o zarobku

żadne z nich nie pomyślało, więc przednowek, czego dawniej nigdy się nie zdarzyło, zajrzał do chałupy Marcinów.

— Mój Marcinie — odezwała się żona — ostatnią ćwiartkę zboża zaniosłam do młyna, a tu do nowego daleko. Nie wiem też co to znaczy, że nam się jakoś tego roku nie poszykowało.

— Urzeczenie, moja Basiu, urzeczenie, ale niechno się chwycę pracy, to...

— Tylko Marcinie z rozumem machaj rękami — przerwała Marcinowa, widząc, że mąż zatrząsł niemi jak z oparzenia — bo znowu zwalisz co na ziemię.

— Ej! nie o tem mowa. Oto Walkowie prosili nas na wesele, wymówić się nie wypada. Sprzedajmy więc wieprzka, a z pieniędzy za niego, kupiemy prosiaka i żyta na chleb. Wiśniocha także wielkie starzysko, to ją trzeba oddać w cudze ręce, zbierze się więc grosza i wystarczy na wszystko, a na weselu być wypada.

— Żawsze to jednak wydatek! — szepnęła Marcinowa, a Marcin odrzekł z wesołością:

— Co tam wydatek! raz kozie śmierć, i juścić, a we frasunku zabawa jedyną pociechą!

Sprzedali więc krowę i wieprzka, kupili żyta, ucieszyli się na weselu, że potem coś z tydzień do niczego się zabrać nie mogli, a gdy podchowali gęsi i przedali, Marcinowa zastawiła korale, dosyć, że zebrali coś przeszło sto złotych i postanowili kupić krowę i prosię. Zaczęli więc jarmarkować i z miasteczka ruszać do miasteczka, bo nigdzie jakoś bydlęcia nie mogli upatrzyć podług swego życzenia. Ta nie miała rogów, u innej znowu były bardzo kończaste, inna z sierści nie wyglądała ładnie, o inną znów rozeszli się o złotówkę albo o lidkup; dosyć, że zeszło ze cztery tygodnie, a krowy jak nie było, tak nie było. A tu każdy jarmark choć złotówkę to wyciągnął z mieszka, a mitręga także wiele znaczy, więc strata szła za stratą. Ale Marcinowie składali to wszystko nie na siebie, tylko na urzeczenie, albo na chciwość ludzką, że o marną rzecz nie przybili targu.

Ale raz w miasteczku na samem wyjezdnem, spotkali się z kumem Bartłomiejem, gajowym, z którym bardzo się dawno

nie widzieli. Więc stuknęli kieliszkami, kwaterka poszła za kwaterką, i niedługo tak się obąbali, że i kum i Marcinowie chwiali się na nogach, jak młoda topola, kiedy nią wiatr pomiata. Z rezonem, z pośpiewywaniem, wziąwszy kuma na wóz dla podwiezienia, wyruszyli wreszcie z miasteczka, ale że szkapska strasznie były zbiedzone, więc wlokły się jakby nie na swoich nogach. Marcin gniewał się, wykręcał batem, szarpał lejcami, walił biczyskiem że aż żebra chrobotały, wóz jednak wlókł się jak ze smołą.

— Jakoś konie mój kumie, strasznie wam falują — odezwał się Bartłomiej, — idą jak raki.

— Co? jak raki! — zabełkotał Marcin, — poczekajcie, przyjdzie z góry, to wam tylko warczyć będzie koło uszów.

— Tak, i wywalicie nas gdzie do rowu.

— Albo to prawda! czy to ja nie parobczak? — i Marcin zaspiewał:

Na polu, przy łące,
Konie się zbrykały;
I póty latały,
Aż się wybrykały.

Jak Marcin skończył, zawiodła zaraz Marcinowa:

Z przyjacielem sprawa,
Najlepsza zabawa:
Bo serce nacieszy,
I uszy pocieszy.

— Ot! już na górze jesteśmy, — zawołał w tej chwili Marcin; trzymajcie się kumie! — i nuż szkapy okładać batem co tylko wlazło. Wóz zaczął się spuszczać, a że góra dosyć była przykra, wię wkrótce i wóz i konie zaczęły pędzić na złamanie karku.

— Ostrożnie, kumie, — jąkając się, rzekł Bartłomiej, — bo wóz leci strasznie samopas.

— Nie bójcie się, nic wam nie będzie, — odrzekł Marcin, i smagając konie, zaczął spiewać! — oj! da dana dana, dana!

Marcinowa nie chcąc także w tyle zostać za mężem, również rozpoczęła spiewanie, ale zaledwie zawiodła:

Hejże moja po krakowsku,
Z sandomierska...

wóz latając to w prawo, to w lewo, nagle uderzył o kamień, wybiegł na grebę, nachylił się, Marcinowa wrzasnęła i w oka mgnieniu wóz cały z garnkami, z kaszą, końmi i ludźmi wpadł w dół wybrany na glinę, pełen deszczowej wody, porośnięty z drugiej strony kolącą tarniną.

— Hu! ha! z sandomierska! — wrzeszczał Marcin, lecąc powietrzem wprost łbem na tarninę. Za nim chlapnęła w wodę Marcinowa, za nią Bartłomiej, a potem garnki, kasza, słoma, kukiełki, sól, różne rupiecie, że tylko chlupło, stękło i chrobotnęło się. Ale w tym wywrocie oprócz szkody i bolu była i śmieszność, bo kiedy Marcin mruczał i przeklinał uwikłany włosami w tarninie, Marcinowa na przemian wrzeszczała i stękała, bo tak jej ciężał na plecach siedzący Bartłomiej.

— Basiu! pomóż-no — mruczał Marcin — bo się czupryną uwikłałem w tarninie i żadnej nie mogę dać rady.

— Marcinie! ratuj! — wrzeszczała Marcinowa — bo kum mnie chyba uduszą. Kumie, umykajcie, czyście nieżywi?

— Kiedy żadnym sposobem wstać nie mogę — odrzekł Bartłomiej, siedząc na plecach Marcinowej jak na koniu — co ruszę nogami, to mi się w glinie obślizgują; kumie poratujcie!

— Ale, poratujcie — odrzekł Marcin — kiedy tarnina tak mnie za łeb trzyma, że ani troszkę nie chce popuścić.

— Namknijcie się, kumie — stękała Marcinowa — już ani tchu złapać nie mogę.

— A gdzież się umknę, kiedy w koluśko woda? — zapytał Bartłomiej, zawsze siedząc na plecach Marcinowej, która sapiąc z ciężaru, rzekła z gniewem:

— Czyście wy oszaleli, czy co? siedzi na plecach moich jak na ławie, a ja się babrzę w wodzie jak nieboskie stworzenie. Umykajcie, bo was zaklnę...

— Klnijcie, nie klnijcie, to mi wszystko równo, a co się nie namknę, to się nie namknę; co mi za niewola!

— Marcin! chodź-no tu do tego pijaka.

— Co, ja pijak? — wrzasnął Bartłomiej z największą złością — to ty pijak... ty pijak!.. — i myśląc że siedzi przy stole, bęcnął raz i drugi w plecy Marcinową.

— Jezus, Marya! — wrzasnęła Marcinowa — Marcinie ratuj! bo ten pijak mnie zabije...

— Zaraz, zaraz, tylko czuprynę wydrę z tarniny — mruknął Marcin, gdy Bartłomiej nie marnował czasu i ciągle mówiąc: „ja nie pijak!“ bębnił pięściami na plecach Marcinowej, jak dobosz pałkami na bębnie. Że zaś wszyscy troje byli tęgo spici, więc od słowa do słowa zaczęli się kłócić, Bartłomiej bębnił, a Marcin wyciągał głowę z tarniny. Wreszcie Bartłomiej odpowiadając na odgróżki Marcina, zachwiał się i zsunął z pleców Marcinowej. Marcin zaś w tej chwili wywikłał czuprynę z krzaku; że mu zaś kum jakąś przymówką strasznie przygryzł, więc ostro poskoczył ku niemu, i byłaby się niezawodnie zażarta rozpoczęła bitka, ale na szczęście Marcin zawadził o kamień i wpadł na ziemię jak długi. Wygrażali wprawdzie potem do siebie pięściami, wyrzucali w górę nogami, ale nie mogli siebie już dosięgnąć, i radzi nie radzi musieli poprzestać na wymysłach i odgróżkach. Kiedy przy pomocy nareszcie Marcinowej i przechodzącego jakiegoś człowieka, wszystko wróciło do ładu, Marcinowie wgramolili się wreszcie na wóz, zostawiając w kałuży wszystkie garnki, kaszę, kukiełki i kuma na grębie, i potyrbali się ku domowi, obiecując pokrzepić się po wywrocie i frasunku w karczmie na Wygodzie.

Co się dalej z nimi działo, opowiemy wam w następującym numerku Dzwonka.

RÓŻNOŚCI.

Złamana podkowa. Powracał Michał z swoim synem Jaśkiem z miasta. Dzień był gorący a słońce doskwierało do żywego, więc się też obaj niemało strudzili. Kiedy tak idą powoli, patrzą, a tu na drodze leży pół złamanej podkowy.

— Jaśku, podejm-no podkowę, bo szkoda ją zostawić. I to się przyda na coś — mówi ojciec.

— Ej, co wam pan Bóg dał, tatusiu — mówi Jasiek — a przecież to kawałątko żelaziwa nie warta i grajcara. Szkoda się nawet chylać.

Ojciec na to nic nie odpowiedział, jeno nachylił się sam ku ziemi i podjął złamaną podkowę. Szli potem dalej, a na drodze przechodzili mimo chaty kowala. Ojciec wstąpił do kuźni i przedał kowalowi znalezioną podkowę za grajcar.

— O toście się zbogacili tatusiu! — mówi Jasiek ze śmiechem — toć to nawet podejmować i dźwigać tego, żelaziwa niewarto było za 1 grajcar.

Ale ojciec nic na to nie mówił jeno kupił po drodze za ten grajcar jagód Idą dalej, ojciec zajada jedną jagodę po drugiej, a Jaśkowi ślinka aż biegnie do gęby, jeno się wstydzi przymawiać. Zaś ojciec jedząc jagody, rzucił jedną umyślnie na ziemię.

Ledwo to ujrzał Jasiek, zaraz się pochylił i podjął jagodę. O kilka kroków rzucił ojciec drugą jagodę niby niechcący na ziemię, a Jasiek znowu schylił się, podjął i zjadł ze smakiem. I tak co kilkanaście kroków rzucał ojciec przez całą drogę po jednej jagodzie na ziemię, a Jasiek za każdym razem skwapliwie ją podnosił.

Kiedy już takim sposobem niestało jagód, wtedy rzecze ojciec do syna:

— Widzisz Jaśku! Po złamaną podkowę nie chciałeś się ani razu nachylić, mówiąc, że to niewarta, a po jagody, com je za podkowę kupił, chylałeś się do ziemi choć z jakie półkopy razy!

Jasiek się zawstydził bardzo, i skrobiąc się w głowę nic nie odpowiadał. Ojciec zaś mówił dalej:

— Nigdy to mój synu nie trza pogardzać małem, bo i najdrobniejsza rzecz ma swoją wartość i przyda się na cóś człowiekowi! Mówią ludzie, *że ziarnko do ziarnka, będzie miarka* i świętą prawdę mają. Kto nie umie szanować drobnych rzeczy, ten wielkich nigdy mieć nie będzie! Przez lenistwo nie chciałeś się schylić po złamaną podkowę, jeno grajcar była warta, a jak kupiłem za ten grajcar jagód, to się każdą jagódkę kwapiłeś podjąć z ziemi. Pamiętaj sobie to zawsze:

Kto z małego robi żarty,
Ten i większego nie warty!

Pomyłka. Kiedym wam pisał o tym nowym pięknym kalendarzu dla ludu polskiego, co wydrukowany został w Warszawie, to wam powiedziałem, że kosztuje 40 grajcarów. Była to pomyłka. Kalendarzyk ten kosztuje troszkę więcej, bo o 5 grajcarków drożej, a więc nie 40 jeno 45 grajcarków. Dostać go zaś można we Lwowie u p. księgarza Wilda, albo też i w innych miastach w księgarniach za te pieniądze. A powtarzam wam to raz jeszcze, że kalendarz ten bardzo piękny i dużo w nim obrazków.

STARA PRZYPOWIEŚĆ.

Gadać z głupim człowiekiem, mrugać na ślepego, pić z próżnego naczynia, w piecu suszyć lody, twardą skałę uprawiać, w lesie łowić ryby, wodą gasić słońce, kozła doić, łysego golić, cegłę myć, cygana bielić, wiatr do skrzyni chować, i starą babę do tańca napędzać, to daremna robota.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.